

**ŚWIAT DYSKU**

TERRY PRATCHETT

**WYPRAWA  
CZAROWNIC**



ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

# WYPRAWA CZAROWNIC

Przełożył  
Piotr W. Cholewa



Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału  
WITCHES ABROAD

Copyright © Terry and Lyn Pratchett 1991  
First published by Victor Gollancz Ltd, London

Projekt graficzny serii  
**Z**ombie **S**putnik **C**orporation

Ilustracja na okładce  
©Josh Kirby/via Thomas Schlück GmbH

Redakcja  
Łucja Grudzińska

Redakcja techniczna  
Jolanta Trzczińska

Korekta  
Wiesława Partyka

Łamanie  
Liwia Drubkowska

ISBN 978-83-7648-280-4

Fantastyka

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa  
Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca  
30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

## Tego samego autora polecamy:

KOLOR MAGII	ZADZIWIWIĄCY MAURZYCY
★	I JEGO UCZONE SZCZURY
BLASK FANTASTYCZNY	★
★	NA GLINIANYCH NOGACH
RÓWNOUMAGICZNIENIE	★
★	WIEDŹMIKOŁAJ
MORT	★
★	WOLNI CIUTLUDZIE
CZARODZICIELSTWO	★
★	BOGOWIE, HONOR,
ERYK	ANKH-MORPORK
★	★
TRZY WIEDŹMY	OSTATNI KONTYNET
★	★
PIRAMIDY	CARPE JUGULUM
★	★
STRAŻ! STRAŻ!	PIĄTY ELEFANT
★	★
RUCHOME OBRAZKI	PRAWDA
★	★
NAUKA ŚWIATA DYSKU I, II I III	ZŁODZIEJ CZASU
★	★
KOSIARZ	ZIMISTRZ
★	★
WYPRAWA CZAROWNIC	STRAŻ NOCNA
★	★
POMNIEJSZE BÓSTWA	POTWORNY REGIMENT
★	★
PANOWIE I DAMY	PIEKŁO POCZTOWE
★	★
ZBROJNI	ŁUPS!
★	★
MUZYKA DUSZY	ŚWIAT FINANSJERY
★	★
CIEKAWY CZASY	HUMOR I MĄDROŚĆ
★	ŚWIATA DYSKU
MASKARADA	★
★	NIEWIDOCZNI AKADEMICY
OSTATNI BOHATER	
★	



*Dedykuję wszystkim tym – bo dlaczego nie  
– którzy po publikacji Trzech wiedźm zasypali autora  
swoimi wersjami tekstu piosenki o jeżu.  
Co ja narobiłem...*





to świat Dysku, sunący przez kosmos na grzbietach czterech słoni, które z kolei stoją na skorupie Wielkiego A'Tuina, niebiańskiego żółwia.

Dawno, dawno temu taki wszechświat uważany był za niezwykły, a być może nawet całkiem niemożliwy.

Ale z drugiej strony... dawno, dawno temu wszystko było tak proste...

Ponieważ wszechświat był wtedy pełen ignorancji, a uczone przyglądał mu się jak poszukiwacz schylony nad górskim potokiem i wypatrujący złota wiedzy pośród żwiru głupoty, piasku niepewności i małych, wąsatych, ośmionożnych pływających stworków zabobonu.

Od czasu do czasu prostował się i wołał coś w rodzaju: „Hurra! Właśnie odkryłem trzecie prawo Boyle’a”. I wszyscy wiedzieli, na czym stoją. Problem w tym jednak, że ignorancja stała się ciekawsza,

zwłaszcza ignorancja dotycząca spraw wielkich i ważnych, takich jak materia i kreacja. Ludzie zaprzestali cierpliwiej budowy swych domków z patyczków racjonalności wśród chaosu, a zaczęli się interesować samym chaosem – po części dlatego, że o wiele łatwiej być ekspertem od chaosu, ale głównie z tego powodu, że chaos skutkował naprawdę ładnymi deseniami, które można umieścić na koszulkach.

I zamiast zajmować się prawdziwą nauką\*, uczeni zaczęli nagle tłumaczyć, że poznanie czegokolwiek jest niemożliwe i że nie ma czegoś takiego, co można by nazwać rzeczywistością, którą da się poznać, i jakie to wszystko strasznie ciekawe... A przy okazji, słyszełście, że dookoła może latać mnóstwo różnych małych wszechświatów, tylko nikt ich nie widzi, bo są zakrzywione i zwinęte w sobie? Nawiasem mówiąc, ładna ta koszulka, prawda?

W porównaniu z czymś takim, spory zółw ze światem na grzbiecie jest całkiem zwyczajny. Przynajmniej nie udaje, że nie istnieje; nikt też na Dysku nie próbował tego nieistnienia udowodnić – by się przypadkiem nie okazało, że ma rację i nagle znajdzie się zawieszony w kosmicznej pustce. Dysk istnieje na samej granicy rzeczywistości. Najmniejsze małe obiekty potrafią przebić się przez nią na drugą stronę. Dlatego na świecie Dysku ludzie traktują różne rzeczy z należytą powagą.

Na przykład opowieści.

Ponieważ opowieści są ważne.

Ludzie wierzą, że to oni wpływają na opowieści. Tymczasem jest odwrotnie.

Opowieści istnieją niezależnie od osób, które w nich występują. Dla kogoś, kto o tym wie, wiedza to potęga.

Opowieści – szerokie, falujące wstęgi ukształtowanej czasoprzestrzeni – powiewały i rozwijały się w całym wszechświecie od początków czasu. I ewoluowały. Najslabsze wymarły, a najsilniejsze przetrwały i z każdym powtórzeniem nabierały mocy... Opowieści, wijące się i płynące w ciemności.

Samo ich istnienie narzuca delikatny, ale trwały wzorec chaosowi, którym jest historia. Opowieści ryją rowki dość głębokie, by ludzie podążali nimi w taki sam sposób, w jaki woda spływa po zbo-

\* Na przykład odszukaniem tego przeklętego motyla, który – trzepocząc skrzydełkami – powoduje wszystkie burze, jakie ostatnio nas nachodzą, i zmuszenie go, żeby przestał.

czu pewnymi trasami. A za każdym razem, kiedy nowi aktorzy podążają ścieżką opowieści, rowek staje się głębszy.

Nazywa się to teorią przyczynowości narracyjnej i oznacza, że opowieść, kiedy już się zacznie, nabiera kształtu. Przejmuje wszelkie wibracje wszystkich innych swoich realizacji, jakie się kiedykolwiek zdarzyły.

Właśnie dlatego historia przez cały czas się powtarza.

I dlatego tysiąc bohaterów wykradło ogień bogom. Tysiąc wilków pożarło babcię, tysiąc księżniczek zostało pocałowanych. Miliony nieświadomych aktorów poruszało się mimowolnie po ścieżkach opowieści.

Jest już praktycznie niemożliwe, by trzeci i najmłodszy syn dowolnego króla, wyruszywszy z misją, w której wcześniej zginęli jego starsi bracia, nie odniósł sukcesu.

Opowieści nie dbają o to, kto bierze w nich udział. Ważne jest tylko, by były opowiadane, by się powtarzały. Albo też, jeśli wolicie, można sobie to wyobrazić inaczej: opowieść to forma pasożytnicza, naginająca życie ludzi tak, by służyło jej samej\*.

Trzeba bardzo szczególnej osobowości, by mogła się temu oprzeć i stać się sodą oczyszczoną historii.

Dawno, dawno temu...



Szare dłonie ujęły młot i uderzyły w słupek tak mocno, że wbił się na całą stopę w miękką ziemię.

Jeszcze dwa uderzenia i nie dało się go wyrwać.

Na drzewach wokół polanki ptaki i węże obserwowały wszystko w milczeniu. W bagnie, niby plamy brudnej wody, dryfowały aligatory.

\* Ludzie myślą się też co do miejskich legend. Logika i rozsądek przekonują, że to wymysły, powtarzane przez ludzi, którzy bardzo chcieliby zobaczyć niezwykle zbiegi okoliczności, sprawiedliwość dziejową i tak dalej. To nieprawda. Legendy miejskie przydarzają się bez przerwy i wszędzie, gdyż opowieści odbijają się i przelatują tam i z powrotem po całym wszechświecie. W dowolnej chwili setki martwych teściowych są wywożone na bagażniku skradzionych samochodów, a wierne owczarki alzackie dławią się palcami nocnych włamywaczy. Legendy nie są ograniczone do jednego świata. Setki żeńskich merkuriańskich jivpts zwraca cztery oczka na ratowników i mówi „Mój trzoda-mąż będzie wściekły. To był jego moduł podróży”. Legendy miejskie żyją.

Szare dłonie podniosły poprzeczkę krzyża, umieściły na odpowiedniej wysokości i przywiązały lianami tak mocno, że aż trzeszczało.

Przyglądała mu się. Po chwili przywiązała na szczycie krzyża kawałek lustra.

– Płaszcz – poleciła.

Wziął płaszcz i włożył na ramiona krzyża. Poprzeczka była trochę za krótka, więc ostatnie kilka cali rękawów zwisało pusto.

– I kapelusz – dodała.

Był wysoki, okrągły i czarny. Lśnił lekko.

Lustro błyszczało pomiędzy czernią kapelusza i płaszczem.

– Czy to podziala? – zapytał.

– Tak. Nawet lustra mają swoje odbicia. Musimy zwalczać lustra lustrami. – Zerknęła na smukłą białą wieżę za lasem. – Trzeba odszukać jej odbicie.

– Musi więc sięgnąć daleko.

– Tak. Przyda się każda pomoc.

Rozejrzała się po łące.

Wezwała pana Tesco, lady Bon Annę, Hotalogę Andrewsa i Kroczącego Szeroko. Prawdopodobnie nie byli najlepszymi bogami.

Ale byli najlepsi, jakich potrafiła wymyślić.



To jest opowieść o opowieściach.

Albo o tym, co naprawdę znaczy być wróżką i matką chrzestną.

Ale też, zwłaszcza, o zwierciadłach i odbiciach.

W całym wszechświecie żyją prymitywne plemiona\*, które nie ufają lustram i obrazom. Uważają bowiem, że lustra kradną część duszy, a przecież tej duszy nikt nie ma aż tak dużo. Ludzie, którzy noszą więcej odzieży, twierdzą, że to przesady. Twierdzą tak, mimo że ci, którzy przez całe życie pojawiają się na takich czy innych obrazach, zwykle stają się chudzi i przezroczyści. Składa się to na karb przepracowania i niedożywienia.

\* Uznawane za prymitywne przez ludzi, którzy noszą więcej odzieży niż członkowie tych plemion.

Zwykły przesąd. Ale przesady nie muszą być fałszywe.

Lustro może wessać skrawek duszy. Lustro może pomieścić odbicie całego wszechświata, niebo pełne gwiazd w kawalku posrebrzonego szkła, nie grubszego niż tchnienie.

Kto rozumie lustra, ten rozumie prawie wszystko.

Spójrzmy w lustro...

...głębiej...

...na pomarańczowe światełko na nagim górskim wierzchołku, tysiące mil od roślinnego ciepła bagien...



Miejscowi nazywali ją Lisią Górą. Nie z powodu dużej liczby lisów, ale dlatego że była łysą górą. Fakt ten wywołał jednak sporo zyskownego zamieszania; w najbliższych wioskach często pojawiali się przybysze uzbrojeni w kusze, sidła i wnyki, po czym wyniośle żądali przewodników, którzy doprowadzą ich do lisich stad. Większość miejscowych potrafiła całkiem nieźle się z tego utrzymać – sprzedawali poradniki dla wędrujących po górze, mapy lisich siedlisk, ozdobne zegary z lisami wskazującymi godzinę, laski z lisią główką i ciastka wypiekane w kształcie lisa. Jakoś nikt nie znalazł czasu, żeby wyjaśnić nieporozumienie\*.

Ta góra była chyba tak łysa, jak to tylko możliwe dla góry.

Większość drzew rezygnowała w połowie drogi na szczyt, dokąd docierało tylko parę sosenek. Sprawiały wrażenie bardzo podobne do kilku pasemek włosów na czaszce kogoś łysego, kto nie chce się pogodzić z losem.

Było to miejsce, gdzie spotykały się czarownice.

Dziś w nocy na samym wierzchołku płonęło ognisko. W migotliwym świetle poruszały się ciemne sylwetki.

Księżyc sunął leniwie nad plamami chmur.

Wreszcie ktoś wysoki, w szpiczastym kapeluszu, powiedział:

\* Błędna wymowa może mieć fatalne skutki. Pewien chciwy szeryf Yi-Abi został kiedyś przeklęty przez niewykształcone bóstwo i wszystko, czego dotknął, zmieniało się w Zolto, który okazał się niedużym krasnoludem z oddalonej o setki mil górskiej osady. Klątwa magicznie ściągała go do królestwa i kopiowała bezlitośnie. Jakieś dwa tysiące Zoltów później klątwa się wreszcie wyczerpała. Obecnie mieszkańcy Yi-Abi znani są z niezwykle niskiego wzrostu i skłonności do irytacji.

– To znaczy, że wszystkie przyniosłyśmy tylko sałatkę ziemniaczaną?



W Ramtopach pozostała jedna czarownica, która nie brała udziału w sabacie. Oczywiście, czarownice lubią przyjechać tak samo jak wszyscy inni, jednak ta konkretna miała dzisiaj ważniejsze spotkanie. I to nie takie, które można łatwo przesunąć na kiedy indziej.

Dezyderata Hollow pisała testament.

Kiedy Dezyderata Hollow była jeszcze małą dziewczynką, babcia udzieliła jej czterech ważnych rad, które miały pokierować jej krokami na zaskakująco krętych ścieżkach życia.

Oto te rady:

Nigdy nie ufaj psu z pomarańczowymi brwiami.

Zawsze zapisuj nazwisko i adres młodego człowieka.

Nigdy nie stawaj między dwoma lustrami.

I zawsze noś absolutnie czystą bieliznę, codziennie, bo nigdy nie wiesz, czy nie przewróci cię i nie strąci na śmierć spłoszony koń, a kiedy ludzie zobaczą, że masz na sobie brudną bieliznę, umrzesz ze wstydu.

Później Dezyderata urosła i została czarownicą. Jedną z korzyści tego stanu jest, że człowiek dokładnie wie, kiedy umrze, więc może nosić taką bieliznę, na jaką ma ochotę\*.

Działo się to osiemdziesiąt lat temu, gdy pomyśl, że będzie dokładnie wiedzieć, kiedy umrze, wydawał się całkiem atrakcyjny. Ponieważ – w tajemnicy, oczywiście – dobrze wiedziała, że będzie żyła wiecznie.

To było wtedy.

A to było teraz.

Wieczność okazała się trwać o wiele krócej niż kiedyś.

Kolejna kłoda rozpadła się w kominku na popiół. Dezyderata nie zamawiała opału na zimę. Przecież nie warto.

Oczywiście, była jeszcze jedna rzecz...

\* Co wiele wyjaśnia w kwestii czarownic.

Starannie owinęła wąski, długi pakunek. Złożyła liścik, zaadresowała i wsunęła pod sznureczek. Załatwione.

Rozejrzała się. Od trzydziestu lat była niewidoma, ale nie sprawiało jej to kłopotów. Los pobłogosławił ją – jeśli to właściwe określenie – darem jasnowidzenia. Kiedy więc zwykłe oczy przestały funkcjonować, nauczyła się widzieć terażniejszość, i tak o wiele łatwiejszą od przyszłości. A że okultystyczna siatkówka nie jest uzależniona od światła, Dezyderata oszczędzała na świecach. Każda sytuacja ma swoje dobre strony, jeśli tylko wie się, gdzie patrzeć. W przenośni, oczywiście.

Na ścianie wisiało lustro. Ale oblicze w nim nie było twarzą Dezyderaty, zaróżowioną i krągłą. Wręcz przeciwnie.

– Umieras, Dezyderato – oświadczyła kobieta w lustrze.

– Owszem.

– Zestarzałaś się. Takim jak ty zawsze się to zdarza. Twoja moc już prawie zanikła.

– To prawda, Lilith – zgodziła się spokojnie Dezyderata.

– I twoja magia przestaje ją chronić.

– Obawiam się, że tak.

– Czyli teraz pozostałam tylko ja i ta zła kobieta z bagien. I ja zwyciężę.

– Niestety, na to wygląda.

– Powinnaś znaleźć sobie następczynię.

– Nigdy nie miałam na to czasu. Nie wychodzi mi planowanie przyszłości.

Twarz w lustrze urosła – to postać zbliżyła się do swojej strony zwierciadła.

– Przegrałaś, Dezyderato Hollow.

– Tak bywa.

Dezyderata wstała trochę niepewnie i sięgnęła po serwetę.

Postać wyraźnie się irytowała. Pewnie uważała, że ludzie, którzy przegrywają, powinni być załamani, a nie zachowywać się tak, jakby bawili się żartem zrobionym zwycięzcom.

– Czy ty w ogóle rozumiesz, co oznacza przegrana?

– Niektórzy bardzo wyraźnie mi to tłumaczyli – odparła Dezyderata. – Żegnam, droga pani.

I zasłoniła zwierciadło serwetą.

Spod materiału dobiegło jeszcze gniewne syknięcie, a potem zapadła cisza.

Dezyderata stała przez chwilę nieruchomo, jakby zatopiona w myślach.

Potem uniosła głowę.

– Przed chwilą zagotowała się woda – powiedziała. – Może wypijesz filiżankę herbaty?

NIE, DZIĘKUJĘ, odezwał się głos za jej plecami.

– Od dawna czekasz?

OD ZAWSZE.

– Nie zatrzymuję cię, mam nadzieję.

TO SPOKOJNA NOC.

– Przygotuję herbatę. Zostało chyba jedno ciasteczko.

NIE, DZIĘKUJĘ.

– Gdybyś był głodny, to nad kominkiem stoi słój. To prawdziwy klatchiański wyrób, wiesz? Od prawdziwego klatchiańskiego garn-carza. Z Klatchu – dodała.

NAPRAWDĘ?

– Za młodu sporo podróżowałam.

TAK?

– Piękne czasy. – Dezyderata szturchnęła pogrzebaczem pale-nisko. – Taką miałam pracę, rozumiesz. Zresztą pewnie u ciebie jest podobnie.

TAK.

– Nigdy nie wiedziałam, kiedy mnie wezwą. Ty, naturalnie, wiesz takie rzeczy. Głównie do kuchni... Zawsze jakoś trafiałam do kuchni. Czasem na bale, ale zwykle do kuchni. – Podniosła czajnik i nalała wrzątku do imbryka nad ogniem.

RZECZYWIŚCIE?

– Spełniałam ich życzenia.

Śmierć zdziwił się.

CO? TO ZNACZY... NA PRZYKŁAD ZABUDOWANE KRE-DENSY? NOWE ZLEWY? TAKIE RZECZY?

– Nie, nie. Życzenia ludzi. – Dezyderata wetschnęła. – To wielka odpowiedzialność, taka praca chrestnej wróżki. Trzeba wiedzieć, gdzie się zatrzymać. No wiesz... Ludzie, którym spełnia się życzenia, często okazują się nie całkiem mili. Czy więc powinno się im dać to, czego chcą, czy raczej to, czego potrzebują?

Śmierć uprzejmie skinął głową. Z jego punktu widzenia ludzie dostają to, co im się daje.

– Jak ta sprawa w Genoi... – zaczęła Dezyderata.  
Śmierć gwałtownie podniósł głowę.

GENOA?

– Znasz ją? No tak, oczywiście, że znasz...

JA... ZNAM WSZYSTKO, NATURALNIE.

Dezyderata rozmarzyła się wyraźnie. Jej wewnętrzny wzrok spoglądał gdzieś daleko.

– Było nas dwie. Wiesz pewnie, że matki chrzestne zawsze występują parami. Ja i lady Lilith. Matka chrzestna ma wielką moc. To jak być częścią historii. W każdym razie urodziła się dziewczynka: z nieprawego łoża, ale wcale przez to nie gorsza. Nie chodzi o to, że nie mogli się pobrać, po prostu jakoś im to nie przyszło do głowy... I Lilith życzyła jej urody, władzy i żeby poślubiła księcia. Ha! Od tamtego dnia ciągle nad tym pracuje. Co mogłam zrobić? Nie można się spierać z takimi życzeniami. Lilith zna potęgę opowieści. Zrobiłam co mogłam, ale to Lilith ma moc. Słyszałam, że sama rządzi miastem. Zmienia cały kraj, żeby opowieść mogła się spełnić. Teraz i tak już za późno, przynajmniej dla mnie. Dlatego postanowiłam przekazać odpowiedzialność. Tak to już jest z wrózkami chrzestnymi. Nikt nie chce taką zostać. Oprócz Lilith, ma się rozumieć. Bzika ma i tyle. Dlatego posyłam kogoś innego. I tak chyba powinienam wcześniej o tym pomyśleć.

Dezyderata miała dobre serce. Wróżki chrzestne osiągają głębokie zrozumienie ludzkiej natury, dzięki czemu te dobre stają się łagodne, a te złe potężne. Dezyderata nie należała do osób, które używają ostrych sformułowań. Ale można było mieć pewność, że wykorzystując stosunkowo delikatne określenie „ma bzika”, ma na myśli kogoś, kto jej zdaniem znalazł się już parę mil poza horyzontem obłędu i ciągle przyspiesza.

Nalała herbaty.

– To problem z jasnowidzeniem – mówiła dalej. – Człowiek widzi, co się dzieje, ale nie wie, co to oznacza. Widziałam przyszłość. Jest tam karetka zrobiona z dyni, a to niemożliwe. Oraz woźnice z myszy, co mało prawdopodobne. Jest też zegar wybijający północ i coś ze szklanym pantofelkiem. To wszystko się wydarzy, ponieważ tak właśnie działają opowieści. I wtedy pomyślałam sobie: znam kilka osób, które zmuszają opowieści, by działały na ich sposób.

Znowu westchnęła.

– Chciałabym sama pojechać do Genoi – wyznała. – Stęskniłam się za ciepłem. I zbliża się Tłusty Wtorek. Za dawnych lat zawsze odwiedzałam Genoę w Tłusty Wtorek.

Zapadła pełna wyczekiwania cisza.

Po chwili odezwał się Śmierć.

**CHYBA NIE PROSISZ MNIE O SPEŁNIENIE ŻYCZENIA?**

– Ha! Nikt nie spełnia życzeń wróżki chrzestnej. – Dezyderata znów jakby spojrzała w głąb siebie. – Widzisz? Muszę wysłać je wszystkie trzy do Genoi. Muszą tam trafić, bo widziałam, że tam są. I koniecznie wszystkie trzy. To niełatwe z takimi osobami jak one. Muszę użyć głowologii. Muszę sprawić, żeby same się wysłały. Powiesz Esme Weatherwax, że ma gdzieś jechać, to z czystej przekory się nie ruszy. Ale jeśli jej powiesz, że nie wolno jej jechać, pobiegnie choćby po tłuczonym szkle. Tak już jest z Weatherwaxównymi. Nie umieją przegrywać.

Nagle przyszło jej do głowy coś zabawnego.

– Ale jedna z nich będzie się musiała nauczyć.

Śmierć milczał. Z jego punktu widzenia, pomyślała Dezyderata, przegrywanie to coś, czego każdy w końcu się uczy.

Dopiła herbatę. Potem wstała, ceremonialnym gestem wcisnęła na głowę szpiczasty kapelusz i wyszła przez kuchenne drzwi.

Kawałek za domem, między drzewami ktoś wykopał głęboki dół, do którego przewidująco wstawił krótką drabinę. Dezyderata zeszła na dno i z wysiłkiem wyrzuciła drabinę w krzaki. Położyła się. I usiadła.

– Pan Czert, troll, mieszka koło tartaku, ma bardzo dobre ceny na trumny. Jeśli nie przeszkadza ci sosna.

**NA PEWNO BĘDĘ O TYM PAMIĘTAŁ.**

– Kazałam kłusownikowi Hurkerowi wykopać dla mnie ten dół – wyjaśniła Dezyderata. – W drodze do domu zajrzy tu jeszcze i go zasypie. Lubię porządek. Do dzieła, maestro.

**SŁUCHAM? AHA, TAKIE POWIĘDZENIE.**

Wzniósł kosę.

Dezyderata Hollow odeszła na wieczny spoczynek.

– No tak – powiedziała. – To było łatwe. I co teraz?